





Nie znoszę swoich urodzin. Nikomu o tym nie mówię. Cathy i Hanna pomyślałyby, że coś jest ze mną nie w porządku. Bardzo staram się być taka jak one, żeby nie stracić ich przyjaźni. Czasem nawet zanadto się staram i wtedy je naśladowuję.

Pół biedy, jeśli tylko wrzeszczę „Heej!” tak jak Cathy albo tańczę zgarbiona jak Hanna. Koleżanki na ogół łatwo przejmują od siebie różne zwyczaje. Ja jednak często przesadzam w tej skwapliwości. Na przykład zaczęłam czytać dokładnie te same książki, co Cathy, dopóki mi tego nie wytknęła.

— April, czy ty nie możesz sama wybierać sobie czegoś do czytania? — spytała. — Dlaczego zawsze mnie naśladujesz?

— Przepraszam cię, Cathy.

Hanna też się na mnie zezłościła, kiedy spostrzegła, że zaczęłam się czesać tak samo jak ona, a nawet wpinać we włosy identyczne spinki, wstążeczki i koraliki.

— To m o j e uczesanie, April — zaprotestowała, pociągając mnie za cienki warkoczyk z wplecioną wstążeczką z paciorkami.

— Przepraszam cię, Hanno.

Wzdychają, gdy tylko mówię do nich „przepraszam”.

— To zaczyna być wkurzające — orzekła Cathy. — Nas nie musisz bez przerwy przepraszać.

— Jesteśmy przyjaciółkami — dorzuciła Hanna.

Wiem, że są moimi przyjaciółkami, i robię wszystko, żeby nadal nimi były. Właściwie to są moje pierwsze w życiu zwyczajne i miłe przyjaciółki. Im się wydaje, że ja też jestem zwyczajna i miła, no, może z małymi wyjątkami. Nigdy im nie powiem prawdy o sobie. Chybabym umarła, gdyby się dowiedziały.

Tak się wprawiłam w udawaniu, że robię to machinalnie. Gram jak urodzona aktorka. Mnóstwo ról muszę odgrywać. Już się nawet czasem zastanawiam, czy choć cząstka mnie pozostała prawdziwa. Chociaż nie — teraz jestem sobą, ja to mała, śmieszna April, która właśnie kończy czternaście lat. Dzisiaj.

Nie wiem, jak uda mi się przeżyć ten dzień. Jest to jedyny dzień w roku, kiedy tak trudno mi udawać.

W zeszłym tygodniu Marion zapytała mnie, czy nie mam jakichś szczególnych życzeń z tej okazji, ale potrząsnęłam głową tak energicznie, że włosy zasłoniły mi całą twarz.

Cathy na swoje czternaste urodziny mogła zaprosić koleżanki na noc. Oglądałyśmy na wideo śmieszne filmy i jeden nieprzyzwoity, z którego uśmiełyśmy się jak jeszcze nigdy, i który obrzydził nam seks na całe życie.

Hanna miała normalne przyjęcie urodzinowe z dyskoteką w salce parafialnej, udekorowanej lampkami i świeczkami dla zrobienia odpowiedniej atmosfery. Byli też chłopcy, ale tylko brat Hanny i jego koledzy oraz kilku smętnych chłopaków z naszej klasy. Mimo to bawiliśmy się świetnie.

Bardzo mi się podobały urodziny Cathy. Tak samo podobały mi się urodziny Hanny. Tylko z moimi był problem. Chciałabym, żeby już minęły i żebym miała to za sobą.

— Na pewno nie chcesz przyjęcia? — upewniała się Marion.

Mogę sobie wyobrazić przyjęcie urządzone przez Marion. Zgadywanki, zabawa w przypinanie osłu ogona, pie-

czenie kiełbasek na patykach i poncz owocowy — tak, jak to się praktykowało za jej czasów.

Może to nie fair z mojej strony.

Ale już niedobrze mi się robi od ciągłego bycia fair.

Mdli mnie na jej widok.

Okropna jestem. Przecież ona tak się stara.

— Może mogłybyśmy pójść gdzieś we dwie na kolację?  
— proponuje, jakby to była wielka atrakcja.

— Nie, naprawdę, nie chcę robić ze swoich urodzin wielkiej sprawy — mówię i ziewam, udając, że ten temat po prostu mnie nudzi.

Ale Marion nie daje się zwieść. — Wiem, że urodziny to dla ciebie trudne przeżycie — mówi łagodnym tonem.

— Wcale nie — upieram się. — Tylko nie chcę, żebyś wokół tego robiła tyle szumu.

Przełknęła ślinę. Popatrzyła na mnie z ukosa. — Przypuszczam, że dawanie prezentów nie będzie robieniem szumu, jak myślisz?

— Nie, nie mam nic przeciwko prezentom — mówię i przestaję się dąsać.

Posyłam jej spojrzenie pełne nadziei. Chyba dość wyraźnie dawałam jej do zrozumienia, o czym marzę. — Co mi dasz?

— Zobaczysz, musisz poczekać — mówi Marion.

— Och, przynajmniej mi podpowiedz — proszę.

— W żadnym razie.

— No powiedz. Czy to... Czy to... — Aluzyjnie podnoszę jedną rękę do ucha.

— Musisz zaczekać, później się przekonasz — mówi Marion, ale uśmiecha się szeroko.

Jestem pewna, że zgadłam. Mimo że Marion tak na nie wybrzydzała.

Rano Marion przynosi mi urodzinowe śniadanie do łóżka. Na ogół nie przywiązuję wagi do śniadania, ale siadam i usiłuję przybrać zadowoloną minę. Nalała za dużo mleka

do płatków kukurydzianych, ale dorzuciła też truskawki, ponadto przyniosła mały bukiet irysów w wysmukłym kieliszku do szampana, które pasują do deseni na porcelanie. Na tacy leży także prezent, schludnie zapakowane prostokątne pudełeczko akurat odpowiedniej wielkości.

— Och, Marion! — wołam, pochylając się ku niej, niemal gotowa ją uściskać.

Taca przechyla się i mleko rozlewa się na pościel. — Ostrożnie! — woła Marion i łapie prezent, by go uratować przed zalaniem.

— Oddaj, to moje — mówię i wrywam jej pudełeczko z rąk. Dziwnie lekkie. Ale może to jeden z najnowszych modeli, takich, co to prawie nic nie ważą. Rozwiązuję wstążeczkę i zrywam papier. Marion bezwiednie wygładza go, a wstążeczkę nawija sobie na palce. Zdejmuję pokrywkę z kartonowego pudełeczka i widzę następne pudełko. Zdejmuję pokrywkę z drugiego pudełka, a tam jeszcze jedno, mniejsze. Otwieram i to pudełko, by ujrzeć jeszcze mniejsze pudełko. Za małe, nie ulega wątpliwości.

Pamiętam, jak kiedyś w Sunnybank ktoś zrobił kawał jednemu dziecku. Rozpakowywało jedno pudełko za drugim. Na końcu okazało się, że w ostatnim pudełeczku od zapalek w ogóle nic nie ma i wszyscy się śmiali. Ja też, chociaż chciało mi się płakać.

— No dalej, otwórz następne — zachęca mnie Marion.

— Czy to żart? — pytam. Chyba ona by tak sobie ze mnie nie zażartowała?

— Nie chciałam, żebyś od razu domyśliła się, co tam jest w środku. Ale chyba już wiesz. Otwórz pudełeczko, April.

No więc otwieram. To już ostatnie pudełeczko. W środku jest prezent. Ale wcale nie ten.

— Kolczyki!

— Podobają ci się? Są z kamieniem księżycowym. Pomyślałam sobie, że podkreślą błękit twoich oczu.

Nie słucham, co mówi. Tak bardzo jestem zawiedziona. Byłam pewna, że dostanę komórkę. Przecież się uśmiechała, kiedy wykonywałam znaczący gest... Nagle rozumiem. Ona myślała, że ja wskazuję na swoje świeżo przekłute uszy.

Modne kolczyki mają być gałązką oliwną. Zrobiła wielką historię z tego, jak Cathy i Hanna namówiły mnie w sobotę, bym sobie przekłuła uszy w sklepie z dodatkami Claire. Można by pomyśleć, że przekłułam sobie co najmniej język, tyle było na ten temat gadania.

— Co znowu? — pyta. — Nie podobają ci się?

— Nie o to chodzi. Są bardzo ładne. Tylko... — Nie mogę dłużej wytrzymać. — Myślałam, że dostanę komórkę!

Marion patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. — Och, April! Wiesz przecież, co myślę o telefonach komórkowych.

Wiem bardzo dobrze. Tyle się już nagadała o guzach mózgu, rzekomo od telefonów komórkowych, i o tym, jak komórki przyczyniają się do zakłócania porządku publicznego. Jakby mnie to coś obchodziło! Chcę mieć tylko swoją komórkę tak jak wszystkie dziewczyny w moim wieku. Cathy dostała komórkę na swoje czternaste urodziny. Hanna dostała komórkę na swoje czternaste urodziny. Każda dziewczyna dostaje komórkę na czternaste urodziny, jeżeli nie wcześniej. Wszystkie uczennice siódmej klasy mają już komórki. I większość z klasy szóstej.

Czuję się, jakbym była jedyną osobą w całej okolicy pozbawioną środka komunikowania się. Nie mogę sobie pogadać ani wysyłać zabawnych SMS-ów czy odbierać od koleżanek wiadomości. Nie mogę do nich dołączyć. Jestem na marginesie.

Jak zwykle.

— Chciałam dostać komórkę! — mażę się jak małe dziecko.

— Na miłość boską, April — perswaduje Marion. — Znasz doskonale moje zdanie o komórkach. Nie znoszę ich!

— A ja nie!

— To beznadziejny wynalazek; wszędzie wokół słycać te idiotyczne melodyjki i dzwonki, kiedy bęcwały meldują: „Jadę właśnie pociągiem”, jakby to kogoś obchodziło.

— Mnie obchodzi. Chcę się kontaktować ze swoimi przyjaciółkami.

— Nie bądź śmieszna. Przecież codziennie się z nimi spotykasz.

— Cathy zawsze wysyła do Hanny wiadomości, a ona jej odpowiada, i potem obie się śmieją, a ja nie wiem z czego, gdyż nie mam komórki.

— Przykro mi, April. Będziesz musiała po prostu z tym się pogodzić. Mówiłam ci przecież wiele razy...

— Wiem, że mi mówiłaś.

— Proszę cię, nie mów takim obrażonym tonem, to zaczyna być naprawdę denerwujące.

— Nic na to nie poradzę, że działam ci na nerwy. Tylko nie rozumiem, co w tym strasznego, że chcę mieć komórkę, skoro każda nastolatka na świecie ma swoją komórkę bez proszenia.

— Nie bądź śmieszna.

— A co w tym śmiesznego? Chcę być taka sama jak moje przyjaciółki. Cathy ma komórkę, Hanna ma komórkę. Dlaczego ja nie mogę mieć komórki?

— Już ci mówiłam dlaczego.

— Racja. Niedobrze mi się robi od tego, co mi ciągle powtarzasz. Kto ty jesteś, żeby mi mówić takie rzeczy? Przecież nie jesteś moją matką.

— Posłuchaj, usiłuję...

— Ale ja sobie tego nie życzę!

Mówią to moje usta, bez mojego udziału. W pokoju nagle zalega cisza.

Nie to chciałam powiedzieć.

Owszem, właśnie to.

Marion siada ciężko w nogach mojego łóżka. Patrzę na tacę ze śniadaniem. Patrzę na nowe kolczyki z kamieniem księżycowym.

Mogłam powiedzieć „przepraszam”. Mogłam powiedzieć jej coś miłego. Mogłam zjeść swoje płatki. Mogłam założyć nowe kolczyki, ucałować Marion i powiedzieć jej, że bardzo mi się podobają.

Tylko że ja marzyłam o komórce. Nie rozumiem, co w tym złego. Szczerze mówię: o komórce! Czyżby Marion nie chciała, żebym utrzymywała kontakt ze światem?

Może chce zatrzymać mnie wyłącznie dla siebie? W takim razie ja jej nie chcę!

Wstaję, zostawiam nieruszoną tacę ze śniadaniem i idę myć się do łazienki. Zamykam za sobą drzwi tuż przed nosem Marion. Wolę, żeby została za drzwiami mego życia. Nie chcę nosić tych jej głupich kolczyków. O kolczykach to ja marzyłam wiele miesięcy temu, kiedy upierałam się, żeby mi pozwoliła przekłuć uszy. Dlaczego ona nigdy nie nadaża? Mam jej dosyć, nigdy nie potrafi zrobić tego, co należy.

Umyłam się. Ubrałam. Marion zeszła już na dół. Wolałabym wymknąć się z domu niepostrzeżenie, tak żebym nie musiała się z nią widzieć. Nie wiem, jak ona to robi, że ja zawsze muszę się czuć winna. To nie moja wina. Nie prosiłam jej, żeby się mną zająła. I nie będę nosiła tych kolczyków. Nie chcę, żeby takie dziecinne błyskotki tkwiły w moich uszach. Mam dość myślenia o niej i o jej uczuciach.

Schyła się przy drzwiach frontowych i podnosi pocztę. Serce podskakuje mi do gardła. Nadeszły trzy kartki urodzinowe, ale nie ta, na którą czekam. To głupie, ale ona nie zna mojego adresu. Może nawet nie wie, jak się nazywam. Jak więc może się ze mną skontaktować?

Marion mnie obserwuje. Cała jej twarz wyraża głębokie współczucie. Ale to tylko pogarsza mój nastrój. — April, wiem, że to dla ciebie trudne. Rozumiem cię.

— Wcale mnie nie rozumiesz!

Zaciska usta, aż robi się z nich cienka kreseczka. Zaczyna sapać przez nos jak koń.

— Wiem, że to dla ciebie trudny dzień, ale nie musisz z tego powodu krzyczeć na mnie. Zachowujesz się jak rozpieszczona smarkula. Nawet mi nie podziękowałaś za kolczyki.

— Dziękuję!

Wyszło to jeszcze bardziej niegrzecznie, niż zamierzałam. Czuję w oczach piekące łzy wstydu. Nie chciałam jej robić przykrości.

A właśnie że chciałam.

— Mam dość ciągłego powtarzania „proszę” i „dziękuję”, puszenia się i zadzierania nosa. Nie chcę być taka jak ty. Chcę być s o b ą — mówię i przepycham się koło niej w drzwiach frontowych, żeby pójść już do szkoły. Nawet nie mówię do widzenia.

Nie chcę więcej myśleć o Marion, bo wtedy fatalnie się czuję. Spycham ją w najdalsze zakamarki mózgu. Wiele osób już tam wcisnęłam.

Wolę myśleć o sobie. Nie wiem, jak to jest być sobą, kiedy nie ma przy mnie nikogo. Nie wiem, kim jestem. Istnieje tylko jedna osoba, która mogłaby mi to powiedzieć, ale ona nie ma ze mną żadnego kontaktu.

O tym właśnie myślę.

Wchodzę do sklepu papierniczego na rogu. Raj wita mnie z uśmiechem: — Cześć, April.

Mijam czekolady, chrupki, napoje gazowane. Patrzą na gazety ułożone w równiutkich czarno-białych stosikach. „The Times”. To jest gazeta z działem „Osobiste”. Na lekcji o prasoznawstwie podzieliliśmy tę gazetę między siebie i analizowaliśmy poszczególne działy.

Nie mogę niestety przejrzeć całej gazety, by znaleźć to, czego szukam. Raj przytwierdził do półek kartkę z ostrzeżeniem: „Tu nie czytelnia. Nie można przeglądać gazet, których się nie kupuje”.

No więc kupuję. Raj demonstruje na mój użytek śmieszna minę. — Co to, April, zrobiłaś się poważną intelektualistką?

— Zgadza się — odpowiadam.

— To żart, co? Primaaprilisowy?

— Nie, ja naprawdę chcę ją kupić.

— Ach, wy, dziewczyny — mówi Raj, jakbym wymyśliła bardzo oryginalny żart.

On o tym nie wie, ale ja nigdy nie robię primaaprilisowych kawałów. Żadnych koszy z papierami wiszących nad drzwiami, żadnych pinesek na krześle, żadnego „Zobacz, kto tam za tobą stoi?” W swoje urodziny zawsze spodziewam się, że coś na mnie spadnie, że coś się za mną czai. I czekam na to.

Wręczam Rajowi pieniądze za gazetę. Patrzy na monetę podejrzliwie, sprawdzając, czy czasem nie jest z czekolady. Udało mi się go nabrać. Mój żart polega na tym, że nie zrobiłam mu żadnego kawału.

Nie ma też żadnej dla mnie wiadomości. Oparta o ścianę przed sklepem zmagam się z łopoczącą na wietrze płachtą gazety. Kwiecień to wietrzny miesiąc. Wolalabym się urodzić w innym miesiącu. Co to za data urodzin — prima aprilis. Jak głupi kawał.

Niektóre z ogłoszeń w dziale „Osobiste” to zakamuflowane żarty. Nie widzę w nich sensu. W każdym razie od niej nic nie ma. Na przykład — „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, 1 kwietnia zawsze myślę o Tobie”. Czy myśli o mnie? Bo ja zawsze o niej myślę. Oczywiście nie mam pojęcia, jaka ona jest, ale sobie wyobrażam.

Jestem dobra w wyobrażaniu sobie.

Kiedy na lekcjach historii mamy sobie wyobrazić, jak

to jest być rzymskim centurionem albo królową z dynastii Tudorów czy dzieckiem przeżywającym bombardowanie Londynu w 1940 roku, z łatwością sobie wyobrażam, że w tych czasach żyję, i opisuję to, a pani Hunter stawia mi szóstki. Mimo że pochłonięta światem wyobrażonym zapominam o akapitach, interpunkcji, a nieraz i o ortografii.

Ta szkoła jest w porządku. Wszystko nieźle się układa. Przyzwyczyłam się. Nie tak jak w innych szkołach, gdzie o mnie myślano, że jestem półgłupia, albo gdzie wszędzie o mnie wiedzano, gdzie nauczyciele na mój widok zaczęli szeptać między sobą i unosili brwi, a dzieci dokucały mi i przezywały. O Boże, wygląda na to, że zaczęłam się nad sobą użalać, że jestem taka mała i biedna.

Nie jestem biedna, chociaż jestem mała. W tej szkole nikt nie zna prawdy o mnie. Tutaj nazywam się April, chodzę do siódmej klasy, a ludzie mnie znają jako jasnowłosą dziewczynkę, która przyjaźni się z Hanną i Cathy. Tu nikt nie uważa mnie za dziwadło, chociaż troszkę się wyśmiewają, że jestem beksa. Któregoś dnia strasznie porzuciłam się w klasie, kiedy powiedziano nam o skrajnej nędzy, w jakiej znalazło się osierocone dziecko uciekinierów. Jeszcze na przerwie płakałam. Cathy objęła mnie, a Hanna ocierała mi oczy chusteczką higieniczną, kiedy przechodząca obok nas nauczycielka przejęła się tym i pytała, czy czasem nie jestem chora. — Ależ to April — powiedziała Hanna. — Ona ciągle płacze. — A Cathy dodała: — Nazywamy ją „Aprysia-Kaprysia”.

I teraz taką mam ksywkę. Lepsze to niż Prima Aprilis. I znacznie lepsze od Śmietniczanki.

To moje prawdziwe wcielenie. Pisali o mnie w gazetach. Jest to chyba powód do sławy. Mało kto dostaje się na pierwsze strony gazet w dniu swoich urodzin. No, ale niewiele osób zostało wyrzuconych do śmietnika. Jedno spojrzenie i: „No nie, takiego dzieciaka to nie chcę. Na śmietnik z nim”.

Niezła kołyska. Pudełko po pizzy zamiast poduszki, gazeta zamiast kołderki i zgnieciony papier zamiast materaca.

Co to za matka, która wyrzuca własne dziecko na śmietnik?

Jestem niesprawiedliwa. Nie sądzę, by chodziło o to, że nie mogła znieść mojego widoku. Przypuszczalnie była śmiertelnie wystraszona. Może nikt nie wiedział o dziecku, a ona nie miała odwagi nikomu o tym powiedzieć.

Wyobraźmy to sobie.

Dlaczego ona mnie nie chce? Jest zdana tylko na siebie. Nie może się mną zajmować. Jest bardzo młoda. To dlatego nie może mnie wziąć ze sobą.

Zaczynają się bóle, a ona nie wie, co począć. Może jeszcze chodzi do szkoły. Łapie się za brzuch i jęczy, a dziewczyna siedząca obok w ławce pyta, czy dobrze się czuje. Przecież nie może odpowiedzieć: „Daj spokój, właśnie rodzę, można skonać”. Więc raczej potrząsa głową i mówi, że strasznie ją boli żołądek. Może udaje, że to z powodu miesiączki. A może nawet wcale nie wie, że zbliża się poród?

Nie, jednak wie, w głębi duszy wie, ale jest tak tym przerażona, że nawet nie śmie o tym myśleć. Niczego nie zaplanowała, bo nie bierze tego faktu pod uwagę. Nawet teraz, kiedy czuje, jak się szamoczę, żeby się z niej wydostać, jeszcze nie dowierza, że w ogóle istnieję.

To takie nierzeczywiste: być z nią w klasie na lekcji. Zastanawiam się, co najbardziej lubi? Historię, tak jak ja? Czy ma dużo przyjaciół? Chyba nie. Nie ma bliskiej przyjaciółki, której mogłaby zawierzyć tajemnicę. Może jest z niej kawał baby i nikt dokładnie się jej nie przyjrzał i nie zauważył, że tyle przybrała na wadze. Nosi luźne, obszerne swetry, udało jej się wymigać od WF-u i jakoś to przeszło niezauważenie.

No dobrze, ale co w domu? Co na to jej matka?

Może jej matka specjalnie się nią nie przejmuje. Może ona panicznie boi się ojca. I dlatego nic im nie powiedziała. Z nikim w domu nie jest szczególnie blisko.

Oto jak do tego doszło. Nie należy do naiwnych dziewczyn, takich, które idą z każdym do łóżka. Jest cicha i nieśmiała. Nie ma powodzenia u chłopców, ale jakiś czas temu — no dobrze, dziewięć miesięcy temu — poszła na imprezę, gdzie nieszczęśliwie się czuła i już zamierzała użyć jakiejś wymówki, że musi wcześniej wracać do domu, gdy nagle ten chłopak, którego wcześniej nie знаła, czyjs kuzyn, podchodzi i siada koło niej, wdaje się z nią w rozmowę, jakby mu naprawdę zależało na bliższym poznaniu.

Muzyka gra tak głośno, że prawie siebie nie słyszą, więc wychodzą do kuchni, gdzie wypijają parę drinków. Nie jest przyzwyczajona do picia, pociągnęła tylko parę łyków wina, a przedtem wypiła puszkę piwa czy dwie, nawet jej specjalnie nie smakowało, ale teraz pije coś słodkiego, z kawałkami owoców na powierzchni, które same spływają do gardła. Dobrze się po tym czuje. Z tym chłopakiem też świetnie się czuje. Teraz on wziął ją za rękę, głowę przysunął blisko jej głowy, wypijają następnego drinka i jeszcze jednego. W kuchni robi się zbyt tłoczno, więc biorą swoje szklaneczki i wychodzą do ogródka.

W kuchni było okropnie gorąco, wydawało jej się, że rozpalone policzki zrobiły się tak czerwone jak napój, który piją, ale kiedy wychodzą na dwór, zaczyna dygotać z zimna. On obejmuje ją ramieniem, żeby się rozgrzała.

— Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? — pyta ją i zaraz bierze się do całowania. Ona nie może uwierzyć, że wreszcie jej to się przytrafia. To jest zbyt piękne, zbyt doskonałe, ale sytuacja zaczyna rozwijać się za szybko, robi się kłopotliwa. Co on robi? Nie, ona nie chce, nie to, proszę, przestań. Teraz on prosi, przecież tak

naprawdę to ty chcesz tego, no, zgódź się. Przecież cię kocham, mówi. Po raz pierwszy ktoś mówi jej, że ją kocha, więc ona pozwala, by ją kochał. I zaraz jest po wszystkim; on odchodzi, zostawiając ją samą w ogrodzie na ziemi.

W końcu przestaje płakać, otrzepuje ubranie i wraca do tego domu, ale nie może go znaleźć. Szuka go na dole i na górze. Pyta, czy ktoś go widział. Miał na imię...

Nie wiem. Może nawet o n a tego nie wie. W każdym razie on przepadł. Ona wraca do domu i płacze jeszcze do poduszki, a kiedy rano się budzi, ma wrażenie, że to wszystko tylko jej się śniło. Nawet nie jest pewna, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Ale go nie zapomniała. Myśli o nim cały czas, dniami i nocami, aż w końcu on przestaje być kimś rzeczywistym. Tak jakby był gwiazdą rocka, kimś takim, o kim się marzy i śni.

Nie dopuszcza do siebie myśli o dziecku. Przecież nie zachodzi się w ciążę od marzeń na jawie czy fantazjowania na temat chłopaka z kapeli. Ale mijają tygodnie. Potem miesiące. Doskonale zdaje sobie sprawę ze zmian, jakie zachodzą w jej ciele, ale woli o tym nie myśleć. Za każdym razem, kiedy jakaś zatrważająca myśl przychodzi jej do głowy, zaczyna nucić swoje ulubione piosenki, żeby zagłuszyć zmartwienia. Przecież to nie może okazać się prawdą. Jej się to nie może zdarzyć.

Ale zdarzyło się. Jest właśnie pierwszy kwietnia, a ona nie może usiedzieć na krześle. Przerazona, że robi z siebie widowisko w publicznym miejscu, wstaje, staniając się na nogach, i mówi nauczycielce, że źle się czuje. Jest blada i spocona, więc nauczycielka myśli, że lepiej będzie zwolnić ją do domu.

Nie idzie wcale do domu. W domu jest matka, która rozwalona na kanapie ogląda telewizję. Nie ma pojęcia, gdzie by tu iść. Ból staje się coraz mocniejszy i czuje go

już nie tylko w żołądku. Potęguje się i ogarnia ją całą; kiedy jedzie autobusem do miasta, nie może już usiedzieć w miejscu, nie może powstrzymać się od jęku. Musi wysiąść, zanim autobus dojedzie do jej przystanku, a na chodniku natychmiast wymiotuje do ścieku.

Zastanawia się, czy przyczyną jej bólów nie jest po prostu niestrawność, ale ból nie ustępuje, przeciwnie, staje się coraz bardziej nie do zniesienia, bakcył rośnie, ogromnieje, walczy w jej brzuchu, aż trudno jej ustać w miejscu. Ludzie zaczynają patrzeć na nią podejrzliwie, więc powłócząc nogami, oddała się w stronę centrum handlowego, w bezpieczne miejsce „dla pań”. Zamyka się w kabinie i wreszcie pozwala sobie na niekontrolowane jęki, ale po chwili słyszy szepty na zewnątrz, a po następnej minucie czy dwóch stukanie do drzwi.

— Dobrze się pani czuje?

Nie odpowiada, w nadziei, że pójdą sobie, ale pukanie nie ustaje. Słyszy brzęk kluczy. Zaraz tu wejdą.

— Mam rozstrój żołądka — udaje jej się wykrztusić.

— Zawołać pielęgniarkę?

— Nie, nie. Już mi lepiej. Zaraz wychodzę.

Nabiera powietrza, modląc się w duchu, żeby ból ustał choć na małą chwilkę, i wychodzi, mijając ich zaciekawione twarze, zostawia za sobą miejsce „dla pań” i szuka innego odosobnienia, gdziekolwiek, żeby tylko mogła być sama.

Wlecząc się przez centrum handlowe, wychodzi na za-plecze, tuż za kinem. Szuka następnej damskiej toalety, takiej, gdzie by nie było osoby doglądającej porządku. Trochę dalej od wejścia, niedaleko pizzerii zwanej Pizza Placce. Musi się tam dowlec, choć nie ma już siły iść. Po prostu musi wypchnąć z siebie to coś.

Toaleta jest zamknięta na kłódkę. Już nie ma dokąd pójść. Zresztą jest na to za późno. Nie może dłużej czekać, to coś już wychodzi, ona to czuje. Kuca za pojemni-

kami na śmiecie należącymi do Pizza Place, ściąga majtki i prze, prze z całej siły — i tak się rodzę w pośpiechu, ciepłe i wilgoci.

Trzyma mnie w złożonych dłoniach, nie wyglądam jak przypudrowane różowe niemowlaczki z reklam. Jestem noworodkiem — czerwonym, oślizgłym i obcym. Nadal nie wydaję się rzeczywista. Jestem obcym przybyszem złączonym z jej ciałem.

Czy płaczę?

Ona pewnie płacze, szlochając w szoku, kiedy grzebie w szkolnym plecaku w poszukiwaniu szczyryka i okrągłych gumek aptekarskich, potem odcina pępowinę i nas rozdziela.

Rozdziela nas na zawsze.

Patrzy na mnie.

Ja też na nią patrzę.

Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć, jak wyglądała.

Wpatruję się w ten nowy, oślepiający i niewyraźny świat.

Jej ręce łapią mnie i podnoszą do góry, jak należy.

Nie przytula mnie. Jedną ręką unosi pokrywę pojemnika, a drugą wrzuca mnie do środka.

Pokrywa opada.

Robi się ciemno.

Tracę ją na zawsze.

